CZYTELNIA

NIEDZIELNA.

Cena Rubli sr. 2.

WARSZAWA.

W DRUKARNI JÓZEFA UNGRA.

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

—

1860.

CZYTELNIA
NIEDZIELNA.

CENA RUBLI SREBREM DWA.

WARSZAWA.

1860.

Sprzedaje się na korzyść Zakładów Dobroczynnych, pod zarządem Opiekuńczego Komitetu Dam, Domu Schronienia Opieki Najświętszéj Niepokalanéj Maryi Panny zostających.
W Redakcyi przy ulicy Chmielnéj Nr 1527.
W Drukarni Józefa Ungra przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr 391, oraz
We wszystkich Księgarniach Królestwa.

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowa
prawem przepisanéj liczby exemplarzy.

Warszawa, dnia 15 (27) grudnia 1860 roku.

Starszy Cenzor, F. Sobieszczański.

Druk J. Ungra

ROK PIĄTY.

№ 1.

WARSZAWA

d. 20 grudnia (1 stycznia)

1859/60.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr. 1527.

NIEDZIELA.
między Obrzezaniem
Pańskiem i Trzema
Królami.

„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Chrystus jest tym, który od ciebie jałmużny prosi; tym, który tobie dał. On będąc bogaty, chciał być ubogim, abyś ty miał ubogiego, któremubyś dawał. Daj bratu twemu, daj bliźniemu twemu, daj towarzyszowi twemu. Tyś bogaty, on ubogi. *(Czytania Bractwa Miłosierdzia na każdą niedzielę roku przez X. P. Skargę).*

MAZUR.

Co wieś, to pieśń.

Jestem rodem zpod Warszawy,
Nie zaś żaden obcy ciura,
Widno zaraz z mej postawy,
Że mam minę na Mazura.
Granatową mam kapotę,
Z wstążką czapkę mam baranią,
A choć tylko chłopską cnotę,
Górbym złota nie wziął za nią.
Zamłodu we dworze byłem...
Nieraz brany za furmana,
Wiele z panem mym jeździłem;
A dobrego miałem pana.
Często w drodze, gdy się zdarzy
Piach głęboki jakby woda,
Konie zwalniam, pan mój gwarzy,
Przez to człeku myśli doda.
To też człek dziś nie tak prosty,
Nawet w myśli jakoś żywiej;
a, co kwiaty, zna co osty,
Wie, gdzie prościej, a gdzie krzywiej.
Oj, bywało, nieraz pomnę,
Pan rzekł: „Grzela mój ognisty
Serce w niczem ma niezłomne,
Więc powiezie w drogę listy,
I w niej długo nie zabawi,
Spełni wszystko, jak należy,
I po ludzku się też sprawi,
Bo uczciwie w Boga wierzy.“
Więc natychmiast się ubieram,
Jak najstrojniej tylko mogę,
Konie tęgie, wóz dobieram,
I dalejże! hejta w drogę.
Człek rósł w dumę, jakby ciasto,
Kiedy drożdży w nie doleją;
Bo gdzie zjedzie w obce miasto,
Krzyczą: Mazur!.. aż szaleją;
Gromadzą się wkoło człeka,
Jeden, drugi wnet częstuje,
Trzeci pomoc ci przyrzeka,
Czwarty ściska i całuje.
Już to mazur wraz z krakusem
Kędy tylko się pokażą,
O obydwóch nie z przymusem,
Ale z serca dobrze gwarzą!
Lecz co próżną było chwałą,
To nie doda człeku cnoty;
Lice moje zesmutniało,
Serce drżało do roboty.
Kiedy mijał wiek mój młody,

I dosyć się najeździłem,
To jak ryba pragnie wody,
Tak do roli zatęskniłem.
I wróciłem znów na rolę
Z chęcią jakby syn do matki,
Bo mą rolę więcej wolę,
Niźli pańskie tam dostatki.
Rola to jest chłopka życie
Szczęście, gdy ma chatkę własną
I pracuje należycie,
Z głową trzeźwą, z myślą jasną.
Ale który z nas polubi
Czy to karczmę, czy mitręgę,
Serce, duszę w nich zagubi,
Wyjdzie z człeka na włóczęgę.
A więc bierzcie przykład ze mnie:
Choć tu owdzie różnie byłem,
Jednak wszystko nadaremnie,
Do swej roli znów wróciłem!

Strachy.

(Obrazek wiejski)

—

W jednej z wiosek w Lubelskiem położonych, w kuchni szlacheckiego dworu, po skończonych dziennych zatrudnieniach, dziewki zasiadły do kądzieli, a parobcy do plecenia rogóżek łyczanych. Wieczór był jesienny słotny, ogień gorzał na kominie; ażeby czas prędzej uchodził, dziewczęta chyhocząc się między się sobą, dogadywały parobkom, oni się im gracko odcinali, i w izbie było gwaru i śmiechu dosyć, a pomimo tego robota szła żywo i składnie.

Najprzystojniejszą i najzgrabniejszą z dziewcząt była Jagusia sierota. Pani wzięła ją do dworu dziewczynką dwunastoletnią, bo ojciec jej, parobek w gorzelni poparzony przy pęknięciu kotła, w kilka dni po tym wypadku w ciężkich cierpieniach życie zakończył, a matka dotknięta tą bolesną stratą, ze zgryzoty wkrótce przeniosła się za nim. Jagusia jasna blondynka, z niebieskiemi pełnemi oczyma, smukła i zgrabna, najczęściej była smutna, a o łzy u niej łatwiej było, jak o uśmiech. Pani ją lubiła, bo była cicha, potulna i pracowita, a i parobcy najwięcej koło niej się uwijali; bo oprócz przystojności, nęciła ich jeszcze obietnica poczciwej pani, że Jagusi sieroty nie wyda za mąż bez wiana. Jagusia niewiele zważała na te ich zaloty, bo kończyła zaledwie rok ośmnasty; a jednak kiedy jeden z nich *ladajakim Kubusiem* od innych zwany, psotnik, zawadyjak, do niej przemówił, to nie odwracała od niego jasnej główki, a nieraz za dobre słowo i uśmiechem zapłaciła. Kubusiowi także ona nieraz była na myśli, ale tuż obok niej roiła się jakaś psota, i zarazem o wszystkiem zapominał.

Z kolei rozmowy przyszło nareszcie do strachów, bo w długi jesienny wieczór jakże o nich nie wspomnieć? Stara Katarzyna kucharka opowiadała, jak u nieboszki jej kumy Piotrowej siedział djabeł na strychu, a ona mu codzień nosiła kaszę jaglaną bez soli.

— To się djabeł musiał dopiero upaść, wtrącił któryś z parobków.

— Niby nasz Kubuś, któremu kaszy nie nastarcz.

— Rychtyk taki jak on, ciągnęła dalej kucharka, bo jemu tylko rogi przypraw, tak istny z niego djabeł. Ale tamten u nieboszki kumy kaszy nie jadł darmo; w całej wsi krowy nie dawały mleka, wszędzie len i konopie przepadły, a u niej jak las; u kogo na przednówku była bieda, u niej zawsze chleb rumiany w piecu się dopiekał. Wszyscy się strasznie temu dziwowali, a jak raz parobek Jacek chciał obaczyć tego djabła i wsadził łeb na górę, djabeł jak go uciął w pyzę, to aż sześć niedziel nosił ją spuchniętą.

— Ba, żebyć to tyle było!.. ale widzicie, jak się tej Piotrowej djabeł sprzykrzył, to w nieckach pod podwijką wyniosła go na gościniec pod most, i posadziła go tam, aby ludziom psoty wyrabiał.

— A zbytna to bestyja, odezwał się parobek; ja łońskiego roku jechałem z Żółkiewki i w Ganach w karczmie spotkałem się z Matysiakiem. Zabawiliśmy się trochę, i już dobrze było w noc, jak wjechałem w las. Jadę koło mostu, patrzę, aż coś leży na drodze; słucham, a to beczy. O daj go tu, pomyślałem: ktoś jechał i zgubił barana. Sciągnąłem lejce.

konie stanęły, a ja dalej z wozu po znalezienie. Patrzę, istny baran, a taki wielki, jak źrebiec; ruszam żeby wstał, ale gdzietam!.. nogi ma związane. Biorę się do niego; hej ciężka bestyja... ani ruszyć. Wyjąłem deskę z wozu, oparłem jeden koniec na wozie, a drugi na ziemi, i jak się przysadziłem tęgo, tak wpakowałem go przecie na wóz. Prawda, że mię coś w krzyżu zabolało, ale gdzietam człowiek o tem myślał, kiedy mu przed oczyma stał Icek pachciarz, jak targuje barana i płaci za niego dwa rubelki. Świsnąłem na konie i jadę; ujechałem może z dziesięć staj, patrzę, a mego barana nie ma; zleciał z wozu. Zakląłem na djabła i wróciłem. Koło mostu jest moja zguba, nuż ją dźwigać znowu; a ze złości jak go porwałem, to i bez deski wpakowałem na wóz. Poczekaj bestyjo, pomyślałem sobie, przywiążę cię do kłonic, już mi nie zlecisz. Jadę znowu, przyśpiewując sobie, i dojechałem aż do Maćkowej miedzy; oglądam się, nie ma barana. Strach mnie wziął, ale że człowiek miał trochę w głowie, a na myśli dwa ruble, to i o strachu zapomniał. Wracam, baran znowu leży w tem samem miejscu; dźwigam, aż mi oczy wyłażą, i znowu baran na wozie. Wziąłem go, powrozem za kark i za nogi przywiązałem do wozu; ha! już mi teraz nie zleciszl.. i pojechałem dalej. Przyjeżdżam do tej figury, co stoi wedle jeziorka, czapka z głowy i przeżegnałem się; słyszę, aż tu za mną hi! hi! hi! coś się roześmiało — patrzę, a barana niema. Włosy mi na głowie stanęły, iskry zaświeciły w oczach i nie wiem, co się dalej stało, dość, że konie z wozem znalezli ludzie nazajutrz aż pod lasem, a ja leżałem w błocie koło jeziorka prawie bez duszy. Niech go źli porwą tego barana; dziesięć niedziel przechorowałem, a tak ciężko, że już człek i na śmierć się spowiadał.

— Dobrze wam tak, po co było łakomić się na nieswoje.

— Jużcić to chyba było nawiedzenie Boże; i teraz żebym panie wór złota znalazł, to anibym pomyślał ukradkiem go schować.

— Ej gadki, odezwał się Kubuś ladajaki, albo to baran był?.. wyśta tylko *bez* wódkę widzieli barana. Ot ja, to potrzeźwemu widziałem stracha.

— Gdzie, gdzie? powtórzyło kilka głosów.

— Gdzie? koło lamusa, bąknął Kubuś, i znów umilkł, spuściwszy oczy na rogóżkę.

Lamus położony był zaraz za dworem i mieścił w sobie skład nietylko nabiału, ale i przeróżnych marynat, wódek, likieru, win i miodu i t. p. rzeczy, i pani nieraz, zwłaszcza gdy byli goście, wysyłała którą z zaufańszych sług, po rozmaite potrzeby do stołu. Najczęściej Jadwisia odbierała ten dowód zaufania, i ona też najpierwsza obróciła oczy na Kubusia; ale on nie podniósł swoich, tylko jakby naumyślnie plótł zawzięcie rogóżkę.

— Cóż to był za strach? zarzuciło kilka kobiecych i męzkich głosów.

— Ot już radzibyśta wiedzieć, żeby potem rozpleść po całej wsi.

— Podnieśno łeb i gadaj, coś widział, odezwała się kucharka, ośmielona stopniem jaki zajmowała, a który mimo woli jednał jej uległość wszystkich stołowników.

— Ha, kiedy już wam tak się żąda, to powiem; tylko na miły Bóg nie gadajta ani pani ani ekonomowi, bo pewnikiem oberwałbym za uszy. Wczoraj po wieczerzy poleciałem na wieś do Stacha; wracam, już się w kuchni nie świeciło, a wiater wygwizdywał, kieby Franek na fujarze. Idę koło lamusa, a tu coś zaszumiało; oglądam się, jakieś czarne wielkie psisko hyc przez furtkę i do lamusa. Ani chybi, bryś, pomyślałem sobie; szkódna bestyja, chce się dobrać do saganów... i poszedłem za nim. Patrzta, ledwie skoczyłem ze dwóch schodów, a tu bestyja jak nie roztworzy pyska, jak nie bryźnie na mnie iskrami. O! Święty Boże, nogi się podemną zatrzęsły; jak drapnę na górę, to nie oparłem się aż w stajni. Żebyśta wiedzieli, to już kury piały, a ja jeszcze dzwoniłem zębami i mówiłem pacierz, bo to musi jakieś złe mnie nagabało.

— Ty nicponiu, pewnie ze strachem łyknąłeś ze trzy półkwaterki, i tak ci się w ślipiach iskrzyło!

— Gadajcie sobie zdrowi; ja i niucha tabaki nie widziałem, a dopieroż półkwaterka.

— To zmyślasz ladaco, żeby nas straszyć, odezwała się jedna z dziewek.

— Miałbym kogo straszyć aż ciebie, kiedy ciebie toby się i sam djabeł przestraszył, odrzekł spokojnie Kubuś. Wszyscy się zaśmieli,

jedna tylko Jadwisia poglądała na mówiącego ze strachem.

Dano wieczerzę, kłótnia o skwarki i smaczniejsze kąski zmieniała tok rozmowy; po wieczerzy parobcy wynieśli się do stajen, a dziewki długo jeszcze gwarzyły o owym strachu z lamusa.

Po kilku dniach, w taki sam wieczór słotny i wietrzny, do pani zajechali goście. Krzątaniny było dosyć do późnej nocy, i już parobcy zabierali się do stajen, gdy pani zawołała Jadwisię, dała jej klucze, i kazała co prędzej skoczyć do lamusa, i przynieść butelkę starego miodu z trzema pieczątkami. Pani tak kazała się spieszyć, aby goście od stołu nie wstali, że dziewczęciu wyszedł zupełnie z głowy strach pokutujący w lamusie; jakoż zapaliwszy świecę w latarce, która dwie szyby miała wybite, wybiegła z kuchni.



W kilka minut krzyk przeraźliwy, bolesny dał się słyszeć w stronie lamusa; wybiegli wszyscy i znaleźli Jagusię leżącą bez zmysłów na schodach, z potłuczoną na drobne kawałki latarką. Nikogo więcej nie było, a jednak gdy przynieśli światło, znaleźli przed lamusem kilka rozżarzonych węgli i płachtę, która nie wiedzieć na co z kuchni zabrał Kubuś. Biedną dziewczynę zaniesiono do izby, zlano wodą i nareszcie docucono się — ale cóż z tego, kiedy zaraz nazajutrz pokazały się ślady gwałtownego tyfusu. Sprowadzony lekarz niewiele robił nadziei. Jagusia konała powoli, a łotr Kubuś nie chciał się przyznać do winy, choć wszelkie poszlaki naprowadzały na ślad, że to jego była sprawka. Spokojny i obojętny jak zawsze, na wszystko miał gotową wymówkę, a choć ekonom przekonany sumiennie o jego winie, kazał mu wyliczyć szesnaście odlewanych, karę zniósł, a nie przyznał się do występku.

Tymczasem życie sieroty gasło z każdą chwilą; na godzinę przed zgonem odzyskała przytomność, pożegnała czule swoją dobrą panią, która o niej prawdziwie macierzyńskie miała staranie, a kiedy jej wspomniono, że to pewno Kubuś przez psotę postraszył ją, nic nie odpowiedziała, tylko dwie łzy potoczyły się po wybladłej twarzy.

Na drugi dzień po pogrzebie Jagusi, łotra Kubusia wypędzono ze dworu. Nie okazał on żadnego żalu po sierocie, nawet gdy trumnę wynoszono i kładziono na wozie, to on bronując pod samym dworem ogród po wykopanych kartoflach, gwizdał jakąś piosneczkę. Wszyscy na niego wymyślali, nazywali zabójcą, a on wszystkich zbywał pół na prawdę, pół żartem i kamienną obojętność do ostatka zachował.

* * *

W kilka lat po tem zdarzeniu, którego sam byłem świadkiem, przyjechałem na odpust do Radecznicy, i rozgościwszy się w lasku pod drzewem, wybrałem się do kościoła.

Idąc podwórzem do zakrystyi, minąłem wielu dziadów siedzących rzędami i błagających o litość, bo zwrócił moją uwagę kaleka bez nóg i z krzywemi rękami. Suwał się on po ziemi w drewnianych korytkach, za pomocą tych krzywych rąk, na których miał także dwa drewniane sandały. Twarz jego pomimo młodych rysów nosiła ciężkie ślady boleści.

— Choć groszyk panie, biednemu kalece, przemówił do mnie, nadstawiając sandała.

Głos ten zdał mi się być znany.

— Jak ty się zowiesz?

— Jakób Łozek.

— Czy nie nazywano ciebie *Kubuś ladajaki?*

— A tak, zkąd to pan wie?

— Bo cię znam, ty byłeś parobkiem u państwa...

— A tak panie.

— Cóż u licha, byłeś zdrów i tęgi.

— A teraz kaleka i chérlak.

— Cóż ci się stało?

— Ot psie figle.

— Jakto?



— A tąk panie: ze dworu mnie wypędzili, poszedłem na służbę do sołtysa; wpodle były dziewuchy, a mnie zawsze we łbie świtało. Zrobiłem sobie szczudła, okręcałem się płachtą i straszyłem. Jak raz narobiłem rejwachu, wyleciał sam gospodarz i nuż gnać mnie z kijem; uciekając na szczudłach i w płachcie, wpadłem w kartoflany dół i złamałem obiedwie nogi, jeszcze jak powiadali w dwóch miejscach, a ręce powykręcałem. Zawieźli mnie do szpitala do Szczebrzeszyna i tam doktór kazał mi uciąć nogi, a ręce prostował i nie wyprostował. Potem chorowałem ciężko przez dwa lata i... nie umarłem.

Te ostatnie słowa wymówił z nieudaną boleścią. Pochwyciłem szczęśliwą porę i rzekłem:

— Nie umarłeś, bo Bóg zostawił czas, abyś odpokutował za śmierć Jadwisi sieroty, abyś przebłagał gniew Boski. Wycierpiałeś wiele, zostałeś kaleką, nędzarzem; ale dziękuj za to Bogu, bo jeszcze szczerym żalem ocalić możesz duszę.

Łzy sznurkiem popłynęły po żółtej twarzy kaleki. Dałem mu jałmużnę, on w milczeniu pocałował moję rękę i łez pełne oczy obrócił ku kościołowi. Zapewne myśl jego pobiegła do stóp ołtarza, błagać Sgo Antoniego Radecznickiego o przyczynienie się za grzesznikiem.

Dodać tu należy, że z baranem, o którym ów parobek rozpowiadał, tak było rzeczywiście, jak mu jedna ze słuchaczek zarzuciła. Parobek ten upił się dobrze na jarmarku, padł prawie bez duszy i zasnął. We śnie to swoim widział on owo niedorzeczne zajście z baranem, które za prawdziwy wypadek opowiadał.

Wieleż to podobnych historyj i bajek między zabobonnymi nasłuchać się można! Strachy, są to złe myśli i złe czyny człowieka; rozpasane jego namiętności, wódka i nieporządne życie, to pukusy złego ducha, które wszystkie przed jasnem światłem wiary śmiesznemi i niedorzecznemi się pokażą.

Przemiana rzeczy

najpośledniejszych w najprzedniejsze, dokonywająca się sposobem leśniczym.

—

Uważaliście niedawno (patrz N. C. 41 z r. z.) kochani moi czytelnicy, jak *błoto* przemienia się w łąkę i paszę; *pasza* jak daje dobytek; *dobytek* mleko, wełnę, siłę i nawóz; *siła* i *nawóz* żyzność ziemi czyli pole; *pole* zboże; *zboże* pieniądz i bogactwo; a *bogactwo* pobożnie i poczciwie użyte, jak rodzi z siebie wiele dobrego.

Potem uważaliście jak toż *błoto*, czyli mokry czarnoziem, użyzniany wydaje w kolei czasu i pracy *warzywa*, *owoce*, *wino*, *miód*, *morwy*, *jedwab'*, *materye jedwabne* i inne podobne do nich przedmioty.

Teraz powiem wam, jak inne pośle dnie rzeczy mogą w podobnyż sposób przynić się do

tego, że mieć możemy *drzew,o płoty, mosty, budowle, narzędzia, sprzęty, machiny* i t. d.

Co do *błota* nie potrzeba tu innego zachodu i pracy, tylko wykopać podczas suchego lata, wzdłuż tego błota, rów, i poprowadzić go miejscami, w których woda najgłębiej podczas mokrego lata stoi, albo podczas roztopów wiosennych najbystrzej płynie.

Po wykopaniu tego rowu, jeżeli miejsce, na którem się on poprowadził, niezdatne nam się wydaje na łąkę, na kapustnik lub na nizinne pole, możemy je obrócić na las lub gaj nizinny, przez zasadzenie go gałązkami *łozowemi, wierzbowemi* i *topolowemi*, uciętemi przed ruszeniem się w nich soków wiosennych i po wtykanemi w ziemię, na której mają rosnąć.

Oprócz łoziny, wierzbiny i topoliny zdatnej na płoty, opałki, kosze, wasągi i budowle plecione, jakie się stawiają u nas szczególniej w Krakowskiem, lub zwyczajne drewniane, jakie się wznoszą wszędzie, można jeszcze na błocie osuszonem siać nasienie *olszowe, jesionowe* i *świerkowe*, które bardzo dobrze na niem wschodzi i wkrótce wydaje piękny las, dostarczający dostatek dobrego drzewa na opał, porządek i do budowy zwyczajnej, a nawet murowanej.

Ale lepiej jest zawsze zamienić wprzód toż błoto po jego osuszeniu, wykarczowaniu wyrównaniu i pooraniu przed zimą w czasie suchej jesieni, na łąkę, kapustnik lub pole nizinne; a potem dopiero, gdy się zniszczą przez uprawę kapusty, rzepaku zimowego, owsa lub innych roślin nizinnych, chwasty błotne, posiać na niem należy we właściwym czasie, na kawałkach najmniej urodzajnych i najtrudniej dających się osuszyć, wspomniane dopiero nasiona *olszowe, jesionowe i świerkowe*, a nawet *wierzbowe, topolowe* i *wiązowe*, które się w wielu miejscach na początku czerwca poniewierają na ziemi, w kształcie porozrzucanego puchu lub plewkowatych łupinek.

W razie niedostatku nasion tego rodzaju, można także sadzić na osuszonych błotach, wcześnie na wiosnę ucięte gałązki dobrych gatunków *łozy, wierzby* i *topoli*, do jakich należy szczególniej *rokicina, witwa, wikla, blekita, wierzba biała, iwa* czyli *liwina, złotocha, złotowierzb, białodrzew* i *sokora* czyli *jabrząb*. Krzewy te i drzewa, posadzone na wspomnianych dopiero najmniej urodzajnych kawałkach osuszonego błota, zamieniają je wkrótce w piękne nizinne laski i gaje, dające najprzód schronienie pożytecznej zwierzynie i wdzięcznie śpiewającemu ptastwu, potem zabezpieczające okolice od gradobicia, piorunów i pomorów, a w końcu dostarczające ludziom drzewa na opał, płoty, tamy, groble, narzędzia, czółna, budynki plecione i nawet na zwyczajne, które szczególniej z białodrzewów i sokór, zwanych inaczej *jabrząbami*, albo *jagniądami* czyli *topolami nadwiślańskiemi*, bardzo korzystnie się otrzymują, dobrze zachowują w sobie podczas zimy ciepło i długo trwają.

Niektóre z wymienionych tu krzewów i drzew, jak np. *witwa* czyli wicina, tudzież *wierzba migdałowa, topola nadwiślańska, wiąz limak, wiąz brzóst*, mają jeszcze tę zaletę, że będąc posadzone lub posiane na miejscach nizkich i na brzegach rzek, na które często woda podczas wezbrań wiosennych i letnich wylewa, przyczyniają się przez zatrzymanie między sobą niesionego przez tęż wodę mułu, liści, słomy, gałązek i śmieci, do podwyższania wspomnionych miejsc nizkich i brzegów, i do zamienienia ich z czasem w urodzajne nadrzeczne łąki i pola.

Łatwy sposób utrwalania brzegów rzek, zabezpieczający przyległe jej niziny od powodzi.

Wymienione dopiero krzewy i drzewa, jeżeli zostaną gęsto zasadzone na nizkim brzegu rzeki szerokim pasem na kilka łokci, i do tego ochronione płotem chruścianym, przynajmniej od strony pola, ażeby nie zostały zniszczone przez bydło lub szkodnych ludzi, mogą tyle pomiędzy sobą zatrzymać po kilku powodziach, pomienionego mułu, liści, słomy, gałązek i śmieci, niesionych przez wodę, że utworzy się przezto niedługo pomiędzy niemi tanim kosztem dość wysoka *grobla* czyli naturalny wał nadrzeczny. Wał ten zostawszy poprawiony i podwyższony ręką ludzką, nie będzie dozwalał na przyszłość rozszerzać się powodzi po nizinach nadrzecznych, i zabezpieczać tym sposobem będzie zasiane na nich pola od podrywania brzegu, a łąki i inne miejsca od częstych, przez wodę sprawianych na nich szkód, które przywodzą niekiedy do zupełnego upadku mieszkańców osiadłych nad

rzekami i pomnażają przez to ogólne ubóstwo pomiędzy ludźmi.

Przez otrzymywanie wskazanym tu sposobem nadrzecznych grobel, możnaby jeszcze osiągnąć tę wielką korzyść, że woda podczas wezbrania rzek wielkich płynąc węższem korytem, miałaby w niem większą bystrość, a przez to zgłębiałaby je powoli i czyniłaby też rzeki zdatniejszemi do spławiania zboża, drzewa, owoców i innych przedmiotów; co ważne z czasem pociągnęłoby za sobą dla dobra ogólnego skutki, gdyby tylko ludzie chcieli uznać to dla siebie za pożyteczne, i nie odpychali od siebie dobrodziejstw Boga, które same się im nastręczają, ale które bez ich umiłowania i bez umiłowania nastręczającej je dobroczynnej Opatrzności, nigdy ich nie spotykają.

Widzicie z tego moi czytelnicy, że nie dosyć jest *znać* dobroczynne sprawy boskie, ale jeszcze potrzeba je *uznać*, czyli nie dosyć je *pojąć* umysłem, ale jeszcze należy je *przyjąć* do serca i pragnąć odnoszenia z nich dla siebie i dla swoich bliźnich właściwych korzyści. Bo bez tego na nic nam się nie zdadzą najświętsze nawet o wspomnianych dopiero dobroczynnych sprawach boskich prawdy i wiadomości, i lepiejby było nie wiedzieć o nich, wcale, niżeli wiedząc, być dla nich obojętnymi i odpychać przez to od siebie wielkie łaski nieba; za co wielka nas zawsze czeka odpowiedzialność i zasłużona kara.

To, co wam tu powiedziałem o karze, która nas czeka za niekorzystanie z tak wielkiego dobrodziejstwa Opatrzności, jakiem jest uspławnianie przez nią rzek przy opatrywaniu ich naszą pracą groblami od strony nizkich pól i łąk, i to groblami tak taniemi, jakiemi są groble otrzymywane przez sadzenie gęsto pasami, wzdłuż tychże rzek, wspomnionych niedawno krzewów i drzew, i przez zabezpieczanie ich od zniszczenia chruścianemi płotami; to mówię wszystko stosuje się i do innych przypadków niekorzystania naszego z pożytecznych wiadomości o dobroczynnych sprawach boskich, a zatem i do tego przypadku, który nam wskazuje cudowna zamiane *błota* i innych rzeczy pośledních, w *złoto* i inne przedmioty przednie. Bo rzeczy te ostatnie nietylko są pożyteczne dla nas i dla naszych bliźnich, pomagając nam i im do *utrzymania* życia i do *udoskonalenia* naszej ułomnej ludzkie natury, co się Bogu, jako kochającemu nas ojcu najbardziej podoba; ale jeszcze dla zwyczajnej chwały boskiej, która się wielce przez to pomnaża, kiedy się dobrze mamy i dobrze darów nieba używamy. W takim bowiem stanie możemy częstsze i większe czynić dla kościoła bożego i dla podupadłych przez nieszczęście naszych bliźnich ofiary; a bez zamożności i przy zepsutem sercu często ich z ostatniej koszuli obdzieramy, i po najświętsze rzeczy rękę bezbożną na ołtarz pański ściągamy.

Jeżeli więc podajemy dla was w tem piśmie jakie pożyteczne wiadomości, np. o robieniu złota, to nie dla tego tylko czynimy, żeby zaspokoić próżną waszą ciekawość i pokazać wam sztukę, której nawet owi mądrzy ludzie, zwani alchemikami pokazać nie byli w stanie;ale dlatego,żebyście przez poznanie tych pożytecznych wiadomości starali się z nich, jako z dobroczynnych zrządzeń boskich korzystać, i stawiać się przez to w możności czynienia dobrze, nietylko sobie, waszym dzieciom, waszym krewnym i waszym bliźnim, ale jeszcze wszystkim pod waszą opieką żyjącym stworzeniom bożym.

Dotąd wskazałem wam przemiany przedmiotów poślednich w pożyteczne sposobem *rolniczym ogrodniczym* i *leśniczym*; teraz wypada mi jeszcze wskazać wam, jak inne, podobne do błota nieużyteczne przedmioty, zamienić się mogą w piękne lasy i gaje, a tem samem w drzewo i w to wszystko, co się z drzewa otrzymuje.

Żeby wam zaś nie zdawało się, że te wiadomości są moim wymysłem, muszę was uprzedzić, że nie są one przezemnie zmyślonemi, ale od was samych i od waszych braci rolników, ogrodników i leśników powziętemi. A zatem idźcie za temi radami z ufnością, bomoże nie wiecie, że się one pomiędzy wami i waszemi braćmi zrodziły, i że obowiązkiem waszym oddawna było postarać się pomiędzy sobą o kogo takiego, bratem waszym jak ja będącego, coby spisał te wiadomości i objawił je tym, którzy z nich dla swego i swoich bliźnich dobra, oraz dla pomnożenia przez nie chwały boskiej, korzystać będą chcieli. (d. c. n.)

Świątobliwe niewiasty.

I.

ZOFIJA SIENIAWSKA.

—

Córka Prokopa Sieniawskiego marszałka wielkiego koronnego i Elżbiety Gostomskiej wojewodzianki Rawskiéj, ludzi słynnych cnotą, pobożnością i wielką fortuną—przyszła na świat r. 1591 dnia 23 maja.

Wychowana pobożnie, w wielkiéj karności bojaźni bożej i zamiłowaniu pracy, od najmniejszych lat Zofija okazywała pobożność; z upodobaniem w kościołach przebywała, składając z nabożeństwem drobne rączęta przed obrazami Boga Rodzicy. Gruntownie wyćwiczona przez pobożną matkę w zasadach religii, w szóstym roku już przystąpiła do spowiedzi i komunii świętéj, z wielkiem nabożeństwem i wylaniem ducha. Gdy dorosła, wielu znakomitych panów ubiegało się o jej rękę, między tymi Krysztof Zborowski koniuszy koronny; ale Zofija powzięła od lat młodocianych niecofnięte postanowienie służenia Bogu w zakonie, którego zwalczyć nie mogły namowy znakomitych przyjaciół, jakoteż świetne związki małżeńskie przedstawiane jej—i otrzymawszy pozwolenie matki, wstąpiła do klasztoru Chełmińskiego Benedyktynek nowo wówczas reformowanego przez świątobliwą Magdalenę Mortęzką, wraz z siostrą swoją Elżbietą. Przy obłóczynach sama im matka obcięła włosy i te w powrocie swoim z Chełmu do domu, w Częstochowie złożyła przy cudownym obrazie, jakoteż obu statuy odlane ze srebra tamże ofiarowała na pamiątkę dwóch córek, oddanych przez nią Bogu na usługi.

Wkrótce Zofija uczyniła wyznanie, i w gronie towarzyszek swoich zjednała dla siebie miłość; szczególnie zaś kochaną była od swej przełożonej świętobliwej Magdaleny Mortęzkiej.

Widząc z czasem natłok do Chełmnskiego klasztoru, który cisnących się doń panien objąć nie mógł, uprosiła u matki swej, iż ta wzniosła klasztor w Sandomierzu dla Benedyktynek, drewniany ze wszelkiemi porządkami i wygodami, za pozwoleniem papieża Pawła X. Do tej fundacyj przysłane zostały zakonnice z Chełmu, a między temi Zofija na mistrzynię nowicyatu, i była uczennicom swoim wzorem wszelkich cnót zakonnych. Następnie zgodnemi głosami roku 1616 obraną została ksienią zgromadzenia i rządziła klasztorem przykładnie.

Po wyniesieniu Zofii na tę godność matka jej wkrótce umarła; dokończenie zatem fundacyi Sandomierskiéj zaczętej przez jej rodzicielkę sama dokonać musiała, co poleciwszy się Bogu kilkodniową modlitwą, chwalebnie spełniła, obróciwszy na to swój własny posag.

Zmarła z powszechnym żalem r. 1620, w 38 roku życia.

Ciało jej przez tydzień stało w kościele od mnóstwa ludu nawiedzane, pochowane następnie w Sandomierzu. Wizerunek jej olejny, dotąd przechowywany jest troskliwie w klasztorze Sandomierskim Benedyktynek.

Przestroga.

—

Wiele z trudniących się szyciem, mają niedobry zwyczaj zostawiania igły w bieliźnie lub innej materyi, około której pracują. Jestto nierozwaga, która niekiedy może sprowadzić nieszczęśliwe wypadki. I tak: w pewnem francuskiem mieście młoda szwaczka powróciła z pogrzebu swojej bliskiej krewnej. Zapłakana, schwyciła chustkę do nosa na stole leżącą, którą dnia poprzedniego obrąbiała. Zaledwie podniosła chustkę do oczu, aby je z płynących łez otrzeć, gdy nagle rozległ się krzyk bolesny. Igła, którą ona wczoraj w robocie zostawiła, przebiła jej powiekę prawego oka. Szczęściem zranienie okazało się nie tak strasznem, jakiemby się stało, gdyby się nieszczęsna igła była głębiej zapuściła!

Nie zapominajcie o tej przestrodze.

DODATEK

Wiadomość o książkach dla ludu wydawanych.

TYM, KTÓRZY CIERPIĄ.

—

Pod tym tytułem wydaną została w Warszawie na rok 1860, staraniem Redakcyi Czytelni Niedzielnej, niewielka, ale ważna co do swej treści książeczka.

Jakkolwiek przeznaczoną jest ona głównie dla chorych, wszakże stać się może równym zdrojem pociechy dla każdego, co cierpi. A któż na tej ziemi jest tak szczęśliwym, coby nigdy nie cierpiał?..

Wprawdzie zachodzą wielkie co do rodzaju cierpień różnice: jedni cierpią złożeni chorobą, drudzy nawiedzeni niedostatkiem, inni dotknięci ranami serca, lub niepokojem duszy.

Ty ojcze, lub matko, którzyście utracili ukochane wasze dziecię, co było jedyną nadzieją podeszłych lat waszych, w którem widzieliście podporę i pociechę waszej starości, zalewacie się gorzkiemi łzami i serca wasze ciężki przygniata smutek. Oto książeczka dla *tych, którzy cierpią!*.., w jej czytaniu i rozpamiętywaniu znajdziecie siłę do zniesienia waszej boleści.

Ty mężu, coś stracił ukochaną przez siebie małżonkę, przywiązana żono, coś utraciła dobrego męża, dzieci tracące rodziców, brat siostrę, siostra brata, przyjaciel przyjaciela; ty, coś postradał krwawą pracą zarobione mienie i patrzysz z boleścią na cierpienie drogich ci istot, na zagrażający im głód i nędzę, i bliskim już jesteś rozpaczy, patrz! oto książeczka dla *tych, którzy cierpią!*.. Ona wstrzyma cię od rozpaczy, ona wzbudzi w tobie nadzieję lepszej przyszłości, i doda ci odwagi do mężnego znoszenia tej ciężkiej próby, jaką Bogu na ciebie zesłać się podobało.

Wy, z których się najgrawają, których prześladują niewinnie; wy, którym urągają i nad którymi się znęcają i pastwią, ubodzy, więźnie, chorzy i kalecy; wy, coście zawinili przed Stwórcą i z grzechów waszych powstać pragniecie; wy biedne sieroty, którym wydarto ojców waszych, spuściznę i uczyniono was tułaczami, co o żebraczym kiju wleczecie kroki wasze i pukając ode drzwi do drzwi, szukacie napróżno miłosierdzia; wy, którym odmawiają kawałka chleba na posiłek, co pragniecie, a którym żałują kropli napoju dla spieczonych ust waszych; wam wszystkim zgoła, którzy cierpicie, polecamy do czytania książeczkę wspomnioną; w niej bowiem znajdziecie najpewniejszy balsam na ukojenie boleści waszych; z niej zaczerpniecie rezygnacyę do cierpliwego ich znoszenia, siłę ducha do chrześciańskiego poddania się wyrokom Przedwiecznego, w niej ujrzycie gwiazdkę nadziei, bez której cierpienia wasze stokroćby się dolegliwszemi stały.

Balsam w tej zbawiennej zawarty książeczce, stanowi trafny wybór wyjątków z Pisma Sgo, uskuteczniony przez słynnego w piśmiennictwie chrześciańskiem męża, nazwiskiem *Ozanama*, który dotknięty długoletnią bolesną chorobą, w rozpamiętywaniu owego Pisma znalazł moc do znoszenia swych cierpień z poddaniem się woli Bożej, stałość w zgadzaniu się zawsze z uległością i miłością wyrokom Jego, oraz odwagę w poświęcaniu ochotnem życia nawet, gdyby tego zaszła potrzeba.

Pismo Święte było codziennym pokarmem dla tej duszy chrześciańskiej. Dzieckiem jeszcze prawie będąc, poświęcił się cały obronie prawdy i rozpoczął naukę języka hebrajskiego, ażeby tym sposobem postawić się w możności czerpania z tekstu pierwotnego, zasadniczych prawd świętej wiary naszej.

Mimo wielolicznych zajęć, nie pominął żadnego dnia, w którymby kilku godzin czytaniu biblii nie poświęcił. W niej znajdował podporę i ochronę od pokus młodości, a gdy następnie nadeszły chwile próby, gdy ciężka choroba przygniotła ciało, duch jego spotężniał, zolbrzymiał i wzniósł się wysoko tą właśnie myślą, która mu służyła za codzienny pokarm.

Młody, miłujący życie, obsypany hojnie wszystkiem, co może przywiązywać do ziemi, i wśród tego naraz powalony na łoże boleści, nietylko nie wydał skargi, lecz nawet nie przestał błogosławić ręki, która go tak ciężko a nieodwołalnie dotknęła. Przechodził z kolei wszelkie udręczenia choroby bolesnej a powolnej, której cała sztuka lekarska pokonać nie była w stanie; z równą spokojnością przyjmował zwodniczą ciągle nadzieję wyzdrowienia, jak i obawę powrotu choroby w

coraz to groźniejszych rozmiarach. Zawieszony pomiędzy życiem a śmiercią, umiał znosić tę okropną niepewność z pogodą duszy, z sercem przepełnionem już to wdzięcznością, już rezygnacyą. Wygnany z kraju, oderwany od najmilszych zajęć życia, zdala od drogich sercu swemu osób, z każdym dniem ciśniony nowemi dolegliwościami, wyniszczony cierpieniem i chorobą, nigdy przecież nie szemrał i nie narzekał.

Wśród niemocy i upadku, długie godziny smutnej zimy zapełniał odczytywaniem Pisma Świętego, które umiał prawie na pamięć, a które jednak stawało się dlań nieprzebranym zdrojem pociechy. Żył tym sposobem w ustawicznej obecności Boga, która mu zapomnieć dawała o cierpieniach ciała. Po chwilowych wzburzeniach czynnego i ognistego umysłu, pozyskał spokój serca, ów najsłodszy dar, jakim Bóg uszczęśliwia niekiedy swoich wybranych, w nagrodę zupełnego dlań poświęcania. I wtedy to, przenosił się myślą do tych wszystkich, którzy o tej samej godzinie tak jak on cierpieli, a na podobną rezygnacyę zdobyć się nie mogli: od chorego jęczącego w szpitalu, do bogaczów dotkniętych boleścią wpośród ozdobnych swych komnat, wszystkich równych tak w grzechu Adama, jak i w nadziei Boskich obietnic; i dla nich to wyciągnął ustępy, któreby kiedyś jako dobroczynny napój odżywić mogły tyle serc spragnionych, a które my dziś podajemy w wiernym przekładzie ku pożytkowi duchownemu wszystkich cierpiących współ-braci naszych.

Dzielą się one na cztery główne części, z których:

Część I zawiera zasady wiary i nadziei.

Część II stawia za przykład rezygnacyę pobożnych mężów Starego Testamentu, dotkniętych chorobą i nieszczęściami, jak: Joba, Naamana, Ezechiasza i Tobiasza.

Część III zawiera rady, budzi uczucia i podaje modlitwy napisane dla chorych i bolejących, zakończone modłami dziękczynnemi po wyzdrowieniu.

Część IV wreszcie traktuje o chorych Nowego Testamentu.

Cena książeczki tej, obejmującej przeszło 200 stronic druku w 16 w wydaniu starannem, jest niska; wynosi bowiem kop. 15 czyli złotych 1 za exemplarz na papierze zwyczajnym, a kop. 30 czyli złp. 2 na welinie. Przesyłka zaś na prowincyą i do cesarstwa kosztuje od exmplarza welinowego kop. 7 i pół, a od wydanego na papierze zwyczajnym kop. 6.

Warunki czynią co nabycie jej dostępnem dla osób wszelkiego stanu. Nie wątpimy też, że znajdzie się ona we wszystkich domach chrześciańskich, w których serdeczna wiara przodków naszych dotąd się w swej pierwotnej przechowała czystości.

Exemplarzy powyższego dziełka Ozanama nabyć można w Expedycyi Gazet, w Redakcyi Czytelni Niedzielnej, w kantorze głównym tejże Czytelni w drukarni Józefa Ungra, w księgarniach pp: Gebethnera i Glücksberga, oraz w sklepie p. Arnholda przy ulicy Senatorskiej.

Instytut Muzyczny w Warszawie.

Rozrzewniającą jest pieśń sielska, która się wśród pól, łąk i zielonej dąbrowy rozlega, osładzając ranki i wieczory wiejskiej pracownicy; miłą owa wierzbowa fujarka, którą szczęśliwy w swej doli syn kmiecy zwiastuje rolnikowi nadobną wiosnę i napełnia okolicę jakąś tęskną pociechą. Któż z was wieśniacy nie zna tej kapeli, tej może najpiękniejszej na świecie muzyki? Któż z was nie słyszał owego wiejskiego grajka, który przez nikogo nie uczony, tyle ma w swej duszy bożego daru, iż sam, jak polne ptaszę, uczy się śpiewać od zasłyszanéj gdzieś nuty wśród lasów i gajów, wiedzie gwarne wesele do ślubu, potem pod domową strzechę i tam sprowadza godziny szczęścia i uciechy. Kto z was nie słyszał smętnej a głębokiej pieśni wędrownego lirnika wiejskiego, który na odpustach śpiewa wam o dawnych czasach, o rycerzach, o wielkich ludziach, co się krajowi zasłużyli.

Kto jéj z was pracownicy warsztatów, z was biednych wyrobników nie powtórzył sam sobie w cichem ustroniu, i nie rozweselił tą myślą z lepszego świata, smutku lub samotności swojej?

Komuż w końcu z was nie jest znaną owa

uroczysta i rzewna pieśń kościelna, która przy brzmieniu organów wydobywa się w świątyni pańskiej z piersi tysiąca ludu i niesie do nieba prośby jego, bóle i nadzieje?

Oto kolebka piesni: pieśni ludowej, świeckiej, dumy historycznéj i pieśni kościelnej. Ale muzyka ta jest dopiero rodzimem złotem, które nauka podnieść i do prawdziwej jego wartości doprowadzić może. Na tej ziemi wszystkiego uczyć się trzeba; a jeżeli Bóg wlał w czyje piersi więcej swojego daru, tem go jeszcze bardziej pielęgnować, pracą oraz nauką udoskonalać i uszlachetniać powinien.

Otóż z tych pobudek powstają różne szkoły. Instytut Muzyczny w Warszawie jest taką szkołą wyższą dla uczenia młodzieży śpiewu i muzyki na instrumentach. Ma on być otwarty w tym roku, z dniem 1 kwietnia. W instytucie powyższym, oprócz innych rodzajów muzyki, uczyć będą także młodzież na zdolnych *nauczycieli śpiewu kościelnego i dobrych organistów wiejskich*, aby tym sposobem podnieść muzykę kościelną, by ta godniej odpowiadała służbie Bożej. Założyciel tej szkoły Apolinary Kątski, Dyrektor Instytutu, uzyskawszy należne pozwolenie, ma zebrać na tel cel znakomity fundusz, bo przeszło czterdzieści tysięcy rubli srebrem wynoszący, ażeby przy pomocy, z jaką mu władza przychodzi, mógł wprowadzić w życie tyle użyteczny dla kraju zamiar. Oprócz przeto stypendjów, czyli składek pojedyńczych 300 rublowych, musi on z dobrowolnych ofiar tę summę wypełnić. Dlatego odwołuje się on w odezwie swojej do wszystkich mieszkańców kraju, aby składkami swemi wsparli jego przedsięwzięcie, a co się może dokonać w ten sposób:

Takie stypendium 300 rubli wynoszące, za które jeden młodzieniec może w instytucie przez lat 6 pobierać naukę muzyki, mogłaby złożyć zbiorowo pewna ilość osób, np. gmina cała, bractwo jakie; albo też, co jeszcze łatwiej, pojedyńczy ludzie mogą nadsyłać drobniejsze składki nawet, byleby te 25 rubli razem wyniosły, wprost do dyrektora Instytutu Muzycznego w Warszawie, a najmniejsze nawet kwoty przesyłać do Redakcyi któregokolwiek pisma peryodycznego w Warszawie, a tem samem i do Redakcyi Czytelni Niedzielnej. Jeżeli tym sposobom zbierze się rsr. 300, utworzy stąd jedno stypendium czyli fundusz na sześcioletnie utrzymanie i naukę jednego przyszłego nauczyciela śpiewu kościelnego, rzymsko-katolickiego, lub organisty; jeżeli zaś nie, to drobne ofiary pojedyńcze wpłyną z innemi na fundusz ogólny Instytutu Muzycznego, tak, że gdy tą drogą zbierze się summa rsr. 50, ta stanowić będzie opłatę roczną, w dwóch rotach półrocznych po rs. 25 opłacać się mogącą, za którą jeden uczeń nie stypendysta będzie mógł pobierać naukę muzyki w Instytucie.

Redakcya Czytelni ofiarując pośrednictwo swoje w przyjmowaniu na rzecz Instytutu Muzycznego składek rzeczonych, podaje do wiadomości, iż założyciel jego w odezwie swojej wyjaśnia cel założenia tej wyższej szkoły muzycznej iż oświadcza: że otrzymawszy błogosławieństwo Najwyższego pasterza kościoła i duchowieństwa, oraz poparcie obywatelstwa kraju, pragnie on przez kształcenie zdolnych nauczycieli śpiewu kościelnego i organistów, poprawić muzykę w świątyniach pańskich, rozpowszechnić w ogóle znajomość dobréj muzyki pomiędzy najuboższemi warstwami społeczności, podnieść pieśń kościelną, dziejową i ludową, dać zajęcie szlachetne większej liczbie mieszkańców tutejszych i usunąć o ile się da, tym sposobem napływ obcych przychodniów, którzy z ujmą ludności miejscowej odbierają jej chleb i zatrudnienie.

Dla bliższego poznajomienia was z warunkami przyjmowania do Instytutu, podajemy poniższe przepisy Ustawy Instytutu.

O uczniach.

Art. 49. Uczniowie obojej płci przyjmowani będą na stypendja protektorskie z kraju i z zagranicy; ostatni za pozwoleniem Rządu.

Art. 50. Uczniowie nie stypendyści, tylko z Cesarstwa i Królestwa przyjmowani będą.

Art. 51. Uczniowie nieużywający stypendjów protektorskich i rządowych, oraz wolni słuchacze przyjmowani będą za opłatą, w dwóch półroczach uiszczać się mającą, a wynoszącą rocznie rs. 50.

Art. 52. Kandydat lub kandydatka na ucznia Instytutu, winien mieć najmniej 12ty a najwięcej 20ty rok życia.

Uwaga 1. Wiek późniejszy i wcześniejszy, w razie zdolności nadzwyczajnych i dostateczne-

usposobienia, nie może być przeszkodą do przyjęcia ucznia.

Uwaga II. Ograniczenie wieku nie może być stosowane do uczniów i wolnych słuchaczy, uczęszczających za opłatą po rubli srebrem 50.

Art. 53. Kandydaci winni się zgłaszać od 1go do 10 września w towarzystwie rodziców lub opiekunów i przedstawić dowody następujące: metrykę urodzenia, świadectwo szczepionej ospy, świadectwo lekarza, że stan ich zdrowia pozwala na naukę śpiewu, świadectwo szkolne z usposobienia w czytaniu, pisaniu i znajomości czterech działań arytmetycznych.

Jeżeli kandydat nie posiada świadectwa naukowego, usposobienie wymagane winien udowodnić przez examin.

Art. 54. Kandydat lub kandydatka podda się examinowi wobec członków Zarządu Instytutu, który o ich zdolności muzykalnej i przygotowaniu technicznem wyrzecze, a to stosownie do instrukcyi o examinach wstępnych do każdego oddziału nauk w Instytucie wykładanych, przez Zarząd Instytutu ułożyć się mającej.

Art. 55. Przestający pobierać nauki w Instytucie Muzycznym z jakiegobądź powodu, nie mają prawa żądać zwrotu wniesionej przez nich opłaty.

Art. 56. Za przewinienia, przewidziane przepisami wewnętrznego urządzenia, uczniowie mogą uledz napomnieniu, ukaraniu, według wewnętrznych urządzeń, a za ważniejsze wykroczenia nawet wykreśleniem z listy; ta jednak ostatnia kara tylko w skutek decyzyi Zarządu, zapadłej większością czterech głosów, licząc i głos Dyrektora, zastosowana być może. W potrzebie dyrektor wzbroni uczniowi przybywania do klass, aż do decyzyi Zarządu.

Art. 57. Uczniowie przybywający z innych zakładów muzycznych winni się poddać examinowi, jak zwykli kandydaci.

Art. 58. Każdemu uczniowi doręczony będzie drukowany exemplarz przepisów o wewnętrznym porządku i karach za przekroczenia. (1)

Prawdy gospodarcze.

Pyt. Czem się gospodarz najwięcej bogaci?

Odp. Dobytkiem; bo gdzie wiele bydła, tam wiele gnoju, a gdzie wiele gnoju, tam i dobry plon. Powiadają też starzy:

Gdzie pełno w oborze,
Tam pełno w komorze.

Pyt. Jak gospodarz powinien paść swój dobytek?

Odp. Iżby z niego miał i gnój dobry i robotę sporą i pożytek wszelaki, i przychówku dosyć. Więc nie samą słomę i plewy bydełku dawać, ale siano albo koniczynę i wykę, ziemniaki, albo inne warzywo:

Gdzie karma w samych plewach,
Tam chudzizna w chlewach.

Pyt. Co jeszcze gospodarz winien mieć na baczeniu w obrządzaniu się swem około dobytku?

Odp. Żeby koń, bydlę, owca i trzoda, miały pod sobą sucho, na sobie czysto, przed sobą w żłobach i korytach porządnie i schludnie:

Dozór, czystość, suche stanie
Za pół karmy bydłu stanie.

Pyt. A czy może być dobry gnój bez dobrej paszy?

Odp. W żaden sposób być nie może:
Jak z samej wody nie nawarzysz piwa,
Tak z lichej paszy tłusty gnój nie bywa.

Pyt. Jaki nawóz trzeba w pole wywozić?

Odp. Słomiasty w piaszczystym gruncie suszy rolę, a przegniły nie rozkrusza gliny; więc powiadają starzy:

Na ściśły, gliniasty,
Dobry gnój słomiasty,
A na piaszczysty,
Przegniły, maścisty.

(1) *Stypendysta*, jestto uczeń stały Instytutu, na lat 6 zapisany, zostający na funduszu 300 rublowym.

Wolno słuchający, jest uczeń przychodni, niekoniecznie na cały zakres sześcioletniej nauki zapisany, i niemający stypendium.

Prenumerata na r. 1860 w Warszawie jak dotąd.

Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.

Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwolona, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie.

Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma, bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.— Wolno drukować.— Warszawa d. 16 (28) grudnia 1859 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*